

Przemysław Liziniewicz



**RELIGIA
DEONI**

(OPOWIADANIA)



PRZEMYSŁAW LIZINIEWICZ

RELIGIA DŁONI

(OPOWIADANIA)

WYDAWNICTWO PSYCHOSKOK, 2013

Przemysław Liziniewicz

"Religia dłoni"

Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok, 2013

Copyright © by Przemysław Liziniewicz, 2013

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana, powielana i udostępniana w jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Skład: Wydawnictwo Psychoskok

Projekt okładki: Wydawnictwo Psychoskok

Zdjęcie okładki © ecco - Fotolia.com

ISBN: 978-83-7900-058-6

Wydawnictwo Psychoskok

ul. Chopina 9, pok. 23, 62-507 Konin

tel. (63) 242 02 02, kom. 665-955-131

<http://wydawnictwo.psychoskok.pl>

e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

SKRAJ CODZIENNOŚCI

Pierwsza noc, druga, trzecia. Stale powtarza się ów sen. No, może nie zupełnie ten sam. Podobny. Biegnę wzdłuż stacji, mijam stojące na torach pociągi. Widzę platformy, węglarki, cysterny. Może być ich dużo. Oto stoi wagon osobowy. Zbliżam się do niego. Łapię za pionowy uchwyt, wspinam się i już jestem w środku. Ale wewnątrz tak ciemno, że nic nie widać, zatem rezygnuję. Wychodzę. Zatrząskuję za sobą drzwi, zeskakuję ze stopnia, przechodzę na boczny tor, lecz także tu nie znajduję owego czegoś, czego zdaję się poszukiwać, więc wracam i błędzę dalej, krążę po stacji; przemieszczam się z jednego peronu na drugi, niekiedy zachodzę do jasno oświetlonych i na błysk wysprzątaných, ale zupełnie opustoszałych poczekalni, czasami znowu zaglądam do wnętrz unieruchomionych składów.

Któregoś razu, jak zwykle, zawitałem do środka jednego z nich, a tam wszystko inaczej niż w zwykłym, przeciętnym wagonie. Zastukałem do kantorka. Tak właśnie – w moim śnie wewnątrz osobowych wagonów nie było przedziałów ale jakieś, nazwijmy to, kantorki

czy inne pomieszczenia. Otworzył młody mężczyzna w mundurze konduktora i zaraz się cofnął, odsłaniając drugiego, który siedział przy stoliku i coś notował. W pierwszej chwili zwróciłem się do młodszego. Lecz ten głową wskazał siedzącego. Z kolei siedzący ani na moment nie dał znać, że mnie zauważył. Dalej wisiał nad papierami. A ja też wcale nie stawiałem mu pytań, które najczęściej zadaje się pracownikom kolei. Zazwyczaj takie pytania dotyczą celu podróży, czasu dojazdu. A ja zagadywałem o inne życiowe sprawy. Zwróciłem się do niego następująco:

– Czy pan kierownik nie jest zorientowany w cenach wynajmu lokali użytkowych w Warszawie?

A nazwany kierownikiem, początkowo coś pisze i śliniąc palec, wertuje jakieś kartki. Zdaje się wcale nie zwracać uwagi na okoliczność, że w wejściu do jego kantorka stanęła moja osoba i że ów ktoś zadał mu pytanie. Lecz w pewnej chwili unosi głowę i wypowiada coś w rodzaju:

– Hę?

I wertuje dalej. I dalej co chwilę ślini palec. Siedzi pochylony nad stosem papierów i postukuje o blat

trzymanym w dłoni ołówkiem. Wreszcie nie spoglądając na mnie odzywa się ponownie:

– He? – I nadal milcząc wertuje.

I nikt się niczemu nie dziwi. Zresztą poza nami trzema nikogo tu nie widać. A ja także podczas trwania sennych majaków nigdy nie zaprzątałem sobie głowy pytaniem, dlaczego w danej chwili zachowałem się odmiennie, niż zazwyczaj.

Podobnie zresztą, jak każdego innego dnia na jawie, kiedy przykładowo przechodzę przez jezdnię, to nie zastanawiam się (inni chyba także), dlaczego wszechświat wydaje się czasami być nieskończonym lub z jakiego powodu przed kilkudziesięciu laty pojawiłem się na ziemi, jako właśnie ja, a nie dajmy na to kartka z kalendarza i gdyby jednak stało się inaczej, to jakim torem potoczyłyby się dalsze losy treści zapisanej na owym kawałku papieru, w chwili kiedy uwidoczniła na nim data upłynęłaby i papierek zostałby wyrzucony do śmieci.

Istniał w moim życiu okres, kiedy jeździłem naprawdę (nie tylko we śnie). W końcu doprowadziło mnie to do zamiaru wyrzeczenia się świata. No, może nie samo jeżdżenie pociągami. Wcześniej przeczytałem

pewną ilość książek napisanych przez mistyków w rodzaju mistrza Eckharta, Krishnamurtiego, Ignacego Loyoli. Były także grzyby zawierające psylocybinę. I właśnie po to, by je zbierać w miejscu uważanym przeze mnie za najbardziej nadające się do ich wzrastania, jeździłem pociągami. Zdarzył się nawet okres, kiedy jeździłem po kilka razy w kwartale. Może stąd owe sny o pociągach, które to pociągi (dzięki grzybom) stały się dla mojej podświadomości w jakiś sposób ważne.

Wtedy, kiedy miałem zaledwie dwadzieścia parę lat, myślałem w przyszłości wstąpić do buddyjskiego klasztoru. Ale już wcześniej, nie mogąc doczekać się upragnionego zamknięcia, porozdawałem, wyprzedałem część należących do mnie rzeczy i zacząłem czynić przygotowania do zamieszkania w piwnicy. Początkowo miał to być lokal człowieka, z którym łączyły mnie więzy bliższego koleżeństwa (moja piwnica, zapewne z uwagi, iż mieszkam w wieżowcu, jest ciasna i ma ażurowe ściany). Zacząłem od wynoszenia zbędnych z mojego punktu widzenia przedmiotów oraz sprzątanía (głównie likwidowania pajęczyn). W końcu udało mi się tam zainstalować sześćdziesięciocentymetrowej szerokości (zgodnie z wymogami norm buddyjskiego

klasztoru) mebel do spania (coś w rodzaju kozetki). Jedynym elementem zdobniczym była półtorametrowej wysokości płaskorzeźba głowy płaczącego dziecka. Rzecz została wykonana z *papier mâché* i wcześniej stanowiła element dekoracji do sztuki teatralnej. Poza tym w pomieszczeniu miało być pusto.

Wszakże już wkrótce spostrzegłem, iż właściciel zajętej przeze mnie klitki jest towarzyski. Zaglądał do – było nie było swojej – piwnicy każdego dnia i zawsze pijany. Przeniosłem się gdzie indziej ale i tam nie było mi dobrze.

Ostatecznie zdecydowałem zamieszkać w pustelni. Dlatego pod koniec pewnego lata wybrałem się w okolice Jeleniej Góry.

Z Warszawy do Jeleniej Góry wiodła najdłuższa z dotychczas znanych mi tras kolejowych. Wcześniej zdarzało się, że odwiedzałem górskie polany aby na nich zbierać grzyby halucynogenne. Jechało się dziesięć godzin. Z tym, że czasami zdarzało się, iż pociąg miał opóźnienie, a w takich przypadkach czas jazdy ulegał radykalnemu wydłużeniu.

Za pierwszym razem usiadłem w przedziale. Początkowo zdawało mi się, że w warunkach panującego

tłoku, dokonanie owego wyczynu, stanowiło coś w rodzaju wygrania losu na loterii. Lecz już po kilku godzinach zacząłem cierpieć. Siedzenia mi się odechciało, a stać nie było można. Korytarz wypełniali ludzie, którzy tkwili dosłownie jeden przy drugim. O ile nawet udałoby mi się znaleźć tam skrawek miejsca do stania, nie mógłbym z powrotem usiąść. Należy dodać, że kiedy miałem dwadzieścia kilka lat, wyglądałem na kilkanaście. Innymi słowy, dla większości współpasażerów byłem szczeniakiem, który o ile nie chce, by mu natarto uszu, powinien stać. Więc siedziałem, pomimo iż fotel coraz bardziej uwierał mnie w pośladki. W przedziale panował ścisk i o zmianie pozycji nie można było marzyć. Nie dało się nawet rozprostować nóg, a zatem z powodu naderwanych łąkrotek zaczęły mnie boleć kolana. Tamtego dnia panował upał, a w przedziale jechali ze mną starsi ludzie i kobieta z niemowlakiem. Właśnie ta pani zajmowała miejsce na wprost okna, i z obawy przed przewianiem dziecka lękała się opuszczenia szyby choćby o centymetr. Robiło się coraz duszniej, atmosfera stawała się gęsta. W pewnej chwili poczułem, że w podbrzuszu zbierają mi się gazy. – No, brakowało jeszcze tego – pomyślałem.

Od owego momentu wszelką energię, którą dysponowałem zacząłem poświęcać na niedopuszczenie do ujawnienia mojego nowego stanu. Skutek był oplakany Raz i drugi zaburzało mi w brzuchu. W końcu ozwało się długie, przeciągłe bzyczenie, które zdawało się nie mieć końca. W panującej (nie licząc stuków kół) ciszy, wszelkie dźwięki, które odzywały się w przedziale brzmiały donośnie. Zrazu ludzie spoglądali po sobie, lecz w końcu zorientowali się, iż odgłosy nadpływają ode mnie. Teraz, choćbym puścił nawet cichego bąka, wiedzieliby kto jeszcze bardziej zepsuł powietrze. Więc wstrzymywałem i rozboleł mnie także brzuch. Na koniec uwierało mnie już w oba pośladki, cierpiałem także z powodu dyskomfortu odczuwanego w podbrzuszu, bólu pleców oraz kolan. Do tego wszystkiego dołączyło łupanie w czaszce. Dopiero za Wrocławiem zaczęło się przeludniać. Można było nawet wstać i rozprostować kości. Ale wówczas byłem już tak senny, że z kolei musiałem zmuszać się do stania. Zaśnięcie nie było wskazane z uwagi na fakt, że pociąg po krótkim postoju w Jeleniej Górze jechał dalej, co groziło zawitaniem w okolicach, do których się nie wybierałem.

Gdy wysiadłem, byłem tak zmaltretowany, że nie miałem pewności, czy poza niewątpliwym uczuciem

pragnienia, jestem głodny, czy przejezdony. Do tego dołączyło owo charakterystyczne (dla długich kolejowych tras) wrażenie oblepiającego mnie ze wszystkich stron, brudu. Uczucie nie minęło także wtedy, gdy w dworcowej toalecie wypłukałem twarz, szyję i ręce. Wydało się nawet (choć uważałem to za niemożliwe), że uległo spotęgowaniu.

Tak wyglądał pierwszy, drugi, trzeci i nie wiem który jeszcze raz, kiedy podróżowałem do Jeleniej Góry bez materaca.

Wreszcie opracowałem najwłaściwszą metodę podróży pociągiem na dalekich trasach. Odtąd, kiedy wybierałem się do Jeleniej Góry, zabierałem właśnie dmuchany materac i od razu jechałem na Wschodni, gdzie skład był podstawiany. Tam oczywiście zastawałem sporą gromadę pasażerów. Lecz podczas gdy oni rzucali się zajmować miejsca wewnątrz przedziałów, ja – niby od niechcienia – wchodziłem do zawczasu upatrzonej umywalki. Po zatrzaśnięciu drzwi siadałem i nadmuchiwałem dwa segmenty po czym kładłem się na nim (materacu) w sposób taki, że leżąc po przekątnej, nogi trzymałem oparte o zlew, blokując (przecież tylko) zatrzaśnięte drzwi. W trakcie jazdy niektórzy dobijali się,

niekiedy dość natarczywie, lecz nie reagowałem. Póллеżałem czytając, rozmyślając, śpiąc i tak życie mijało w warunkach dogodniejszych, niż w przedziale. Zapamiętałem ów charakterystyczny zapach, jaki roznosił